№ 10.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
REJ Z NAGŁOWIC.

ROK 1842. Poznań, dnia 11. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Mirza.

Szewc królem.

(Perska powiastka.)

(Ciąg dalszy.)

Potrzeba było dni kilku, aby Azbeaz przyszedł do siebie. Miłość nakoniec dodała mu odwagi. Dowiedział się o kilku szczegółach pomyślnych na pozór, z ust starego niewolnika, który należał do rodziny uwielbianéj przezeń osoby. Dziewczyna nie miała ojca, stała pod opieką pięciu swych stryjów, matka życzyła sobie wydać ją za mąż, i sama tego pragnęła. Udało się Azbeazowi poznać się z matką, zaprosił ją do swego kramu, zrobił dla niéj na podarunek parę trzewików, częstował owocami i cukrami, jedném słowem, tak dalece interes swój poparł u staréj, iż gdy się jéj z zamiarami swojemi zwierzył, ona słuchała z upodobaniem, radziła uszczęśliwionemu Azbeazowi udać się do najstarszego z pięciu stryjów, aby radę zebrał familijną, dla wysłuchania jego prożby.

Tym czasem namówiła swego szwagra, aby się dowiedział od Sakalchoka szczegółów o człowieku, który żądał ręki jéj córki. Sakalchoka cała złośliwość obudziła się, wylał żółć całą na brata, obrócił w śmieszność jego żądania, zaręczał że nie jest w stanie pozostawić żonie dożywocia i dał radę stryjom, ażeby odparli żądania Azbeaza. Słowa Sakalchoka na wzgląd zasługiwały, był bowiem pierwszym jubilerem królewskim. Postanowiono ukarać Azbeaza śmiałość.

Z rana w dniu umówionym biegł Azbeaz z bijącém sercem do najstarszego stryja, u którego rada zebrała się. Zasiedli: Azbeaz, po długiem milczeniu przewiódł swą prożbę i wniósł o rękę córki swego dawnego sąsiada; przyznał że nie jest bogatym, ale posiada mnóstwo roboty; odwołał się do świadectwa tych, co go znali, czyli nie jest w stanie za pomocą pilności i wstrzemięźliwości używić żony.

»Takto,« odezwał się najmłodszy z pięciu starców głosem szyderczym, »ty, biedny partacz, z twarzą małpią i garbem na plecach, który nic nie masz na świecie swojego, śmiesz naszéj krewny żądać w małżeństwo; jéj piękność jest godną Chana, Beja, a nawet jubilera królewskiego! — Czyś głowę stracił, iż śmiesz nam w brody nasze urągać?«

»Głowę stracił!« rzekł stryj wiekiem z następstwa drugi: »nie miał jéj stracić? Któż dał się oszukać niedołężnemu partaczowi szewskiemu?«

»Niedołężny partacz szewski!« dodał trzeci stryj, »gdyby tylko nim był! Ale przyjacielu, wiesz ty, co twój brat, królewski jubiler o tobie powiedział? masz być równie bezczelnym, jak szpetnym, i żądałeś od niego pieniędzy głosem takim, jakbyś był samym królem?«

»Pieniędzy?« mówił daléj czwarty stryj, »pieniędzy! Jakim sposobem może biedny partacz szewski zarobić na wyżywienie żony, godnéj syna Wezyrowego?«

»Syna Wezyrowego!« wołał ostatni z pięciu stryjów, »wszak ty powiedziałeś, syna Wezyrowego? Ona warta być umieszczoną w haremie króla. — Dla tego nie traćmy czasu, nie odpowiadajmy i nie słuchajmy prożby bezczelnéj. Oddal się i namyśl jakim to się stać mogło sposobem, żeśmy cię za bary pochwyciwszy, nie wyrzucili na ulicę.«

Kiedy tak pięciu stryjów niejako piłkę sobie do-

rzucało, poglądał Azbeaz smutnym wzrokiem. Pod twarzą na pozór śmieszną, ukrywał gniew najgwałtowniéjszy. Skoro skończyli, podniósł się zwolna i rzekł drżącym z oburzenia głosem: »przyjdzie czas, gdzie wy wszyscy zawołacie: Aman! Aman!

Zasmucony, bez nadziei, z rozerwaném sercem, wrócił do swega kramu i zamknął się. Dla pocieszenia myśli trudnił się robotą i więcéj uszył obuwia niż kiedykolwiek. Wieść o jego miłości gruchnęła pomiędzy sąsiadami i chcąc uchronić się szyderstwa, nie wychodził z domu.

Powiedzieliśmy, że miasto w którem Azbeaz mieszkał, podlegało nadprzyrodzonym wpływom. Nad pałacem królewskim wznosiła się wieża, któréj jeden narożnik ku dolinie, drugi ku gurom byl obrócony. Wysoko w jednym z tych narożników wisiał Gong, *) ulany z wdzięcznie i harmonijnie brzęczącego metalu, którego przeznaczeniem było, zwiastować mieszkańcom wszelkie szczęśliwe wypadki i dawać znak do publicznych zgromadzeń i wesołości. W przeciwnym narożniku umieszczono inny większy Gong, z ogromném sercem, uwieszoném na łańcuchu. Tylko podczas okropnych wypadków słyszano głos jego. Kiedy król umarł, lub przywdział czerwone szaty, na znak, że znaczna liczba głów spadnie, Gong ręką ludzką poruszany wydawał przeraźliwe jęki. Najstarsi ludzie nieprzypominali sobie, aby kiedy serce w Gong ten uderzyło, według podań jednak stało się to raz, ale serce uderzyło nie ręką ludzką, lecz siłą nadprzyrodzoną poruszone i to nie bez wielkiego znaczenia, bo w krótce potém nastąpił rokosz powszechny. Naczelny wódz miał polecenie, aby za pierwszém drzeniem Gonga, niezwłocznie wojsko zebrał i szybko dążył do stolicy; wszyscy zdatni do broni mieszkańcy łączyli się z wojskiem i stali w pogotowiu. Jako zwiastun, jako groza zawieszonym był Gong nad pałacem. Niemy, w milczeniu zdawał się czekać na niewidzialnego jeniusza, którego głos proroczy w tak silnych dzwiękach daléj podawał. — Król panujący niedbał o te obawy; dworzanie, zausznicy naigrawali się z powieści o wielkim Gongu, — to są babskie baśnie, mówili, bajki na dzieci. Król też nie wstrzymywany żadną obawą, oddawał się okrutnym skłonnościom, uciskał nieszczęśliwych mieszkańców.

Naprzeciw kramu, który biedny Azbeaz na Chakar-Sou zamieszkiwał, leżały cztery kładki kamienne dla przechodniów, podczas błota na ulicy. Idąc z pałacu do wielkiego meczetu, trzeba było przechodzić obok kramu Azbeaza i przez owe kładki, to była najbliższa droga. Po tych wypadkach i kiedy szewc pilnie pracował nad dokończeniem pary trzewików, zapowiedzieli heroldowie zbliżanie się króla, który udawał się do meczetu. W tym dniu padało, ulica była błotem zalana, tak iż koń królewski padł na owych kamiennych kładkach i zrzucił swego pana na ziemię. Pzypadek ten uczynil zamieszanie śród dworszczyzny, każdy krzątał się około osoby królewskiéj, i Azbeaz ciekawością zdjęty, stanął na progu swojego domu. Nieszczęśliwa ciekawość! Skoro król powstał, rozłoszczony owym przypadkiem, pierwsze spojrzenie rzucił na twarz dziwaczną, na otwarte usta, w uśmiech ubrane, z których zęby sterczały.

»Nędzniku! niezdaro!« wołał król rozgniewany, »śmiesz mi urągać? Bierzcie go, dajcie temu psu bastonadę w podeszwy, aby chodzić niemógł.«

Rozkaz szybko wypełniono i wykonano. Azbeza pórwano, rzucono o ziemię, nogi w górę zawieszono, i zanim był w stanie powiedzieć, iż kształt twarzy ten śmiech wydaje mimo wewnętrznego smutku, wycierpiał boleśną bastonadę. Leżał rozciągnięty na ziemi, chłostą zbolały, nie mógł się poruszać. Nikt mu nie przyszedł w pomoc. Nawet w téj chwili rozpaczy i biedy, uśmiech pozorny pozostał na twarzy. Osoby które go znały, odwracały się od niego z obawy, aby gniewu królewskiego na siebie nie ściągnąć, ci co go nie znali, nie mieli nad nim litości, widząc że pod bastonadą miał uśmiech na ustach.

Tylko jeden zrozumiał jego boleść, ulitował się, był nim człowiek ze straży królewskiéj. Na widok Azbeaza, który na próżno starał się z miejsca się poruszyć, zsiadł z konia i nie oglądając się na skutki, zbliżył się do nieszczęśliwego, pocieszał łagodnemi słowami i pomógł mu wrócić do kramu, gdzie mu nogi opatrzył i przyrzekł go odwiedzić. Szlachetne to obejście powszechny poklask zyskało, młodzieniec cieszył się skrycie ze swego czynu, i nie spostrzegł z czarną brodą człowieka, który złośliwém okiem go śledził, zapewne, aby spamiętać jego rysy. Zaledwie wrócił do koszar, wtrącono młodego żołnierza do więzienia, za to iż śmiał dać pomoc złoczyńcy, którego dosięgała sprawiedliwość królewska. Napróżno czekał Azbeaz na odwiedziny swego dobroczyńcy. Chociaż od wszystkich opuszczony, wyzdrowiał z ran otrzymanych i po upływie dwóch tygodni ukazał się w swoim kramie.

Kiedy Azbeaz na stole przykrawał skóry, nie raz z gniewem poglądał na owe kamienne kładki. Nie pierwszy to był nieszczęśliwy przypadek, już

*) Gong była tarcza z miedzi ulana, na wschodzie używana zamiast dzwona i podobna jest do Tam-Tam.

dawniéj przechodzący, zatopieni w szczególniejszych rysach jego twarzy, na owych kładkach padali i przypisywali to uroczym oczom szewca. Nagle wpadło mu na myśl; »przeklęte kamienie!« mówił do siebie, »nie będziecie mnie więcéj prześladowały. — Tak, na Allaha! nie spocznę, aż was z owego miejsca nie wyruszę.«

Bazary za nadejściem nocy pozamykano, strzegli je stróże. Azbeaz postanowił nieopuszczać swego kramu, lecz czekać na chwilę, gdzie od nikogo nie widziany, ruszy kamień mu nienawistny i gdzie indziéj przeniesie. Opatrzył się w narzędzia, latarnią, łopatę i oskard Kiedy inni kupcy bazar opuścili, on ze stróżami pozostał.

Niedługo ciemności otoczyły obszerny budynek, głędoka panowała cisza pod arkadami i w sklepach. Jakkolwiek niczém było to przedsięwzięcie, czuł jednak Azbeaz wewnętrzne wzruszenie, jakby miał zbrodnię wykonać. Schował się aż późno w noc, a sądząc nakoniec iż stróże zasnęli, wysunął się z ukrycia, łopatą i oskardem naprzód na ten ze czterech kamieni uderzył, który uważał za swego nieprzyjaciela, był on największy i głęboko w ziemię wpuszczony.

»Niech ci to Allah nagrodzi, coś mi złego wyrządził!« mruknął Azbeaz okopując kamień. Potém wziął się pilnie do roboty, pot lał się strumieniami z jego czoła, bo trudności większe napotkał aniżeli się spodziewał, i kamień nie ruszył się mimo natężonéj siły. Nie ustawał przecię w pracy i aż do spodu dokopywał się; na raz spostrzegł pod wyrzuconą ziemią lśniący się przedmiot, jeszcze raz użył oskardu i wydobył małą skrzyneczkę, wiekiem żelaznem zamkniętą. Nie bez strachu oderwał wieko Azbeaz i znalazł zamiast skarbu, klucz wielki. Wziął go do ręki i oglądał przy świetle latarni, były na nim litery wyryte, z których Azbeaz wyczytał te słowa: »Idź za mną.«

»Idź za mną!« rzekł szewc do siebie, przecierając oczy, »co to znaczy? — Iść za kluczem? Powinien mi drogę wskazać.«

Kiedy tak trzyma w ręce klucz ów, uczuł z zadziwieniem, iż go napiera, tak jakby go wzywała jaka żywa istota i szeptała, idź w kierunku natchnienia. Przestraszony położył go na ziemię, ale klucz się nie ruszył, podniósł go znowu, i czuł to samo parcie, co wprzody. Ze smutkiem patrzał na ten klucz żywy i szeptał nie ustannie: »Idź za mną, idź za mną!« Kilka kroków postąpił w tę stronę, do któréj czuł pociąg i o cudo! parcie zwiększało się w miarę, jak naprzód pośpieszał.

Sród wahań i tysiącznych domysłów, już pierwszy połysk brzasku przez szczeliny dachu wdzierał się do bazaru. Azbeaz widząc, iż mu już czasu niedostaje do przeniesienia kamienia, chciał go zostawić na miejscu, lecz w téj chwili usłyszał szelest bram, które stróże otwierali. Było za późno, szewc zostawił rozpoczętą pracę, pochwycił klucz i biegł w kierunku natchnienia. Opuścił bazar, przeszedł poza mury miasta i znalazł się śród doliny, twarzą do gór obrócony. Parcie klucza następowało mocniejsze, zrozumialsze, niecierpliwił się zwłoką. Azbeaz biegł doliną w prostym kierunku, nic go nie wstrzymywało, każdą przeszkodę z dziwną łatwoscią zwyciężał, przesadzał nakształt antilopy płoty, rowy i przepaście, sam siebie nie pojmował, zawsze się pytał: »czy to ja w rzeczy saméj?«

Tak przebiegając z nieustanną szybkością, zawsze kluczem party, przybył do gór wysokich. »Co mam począć teraz?« rzekł do siebie: »na Allaha! ani przez nie nie przesadzę, ani ich szczytu dosięgnę.« — Biegł przecie naprzód, za każdym krokiem ogromna przestrzeń widocznie malała, i stanął nareszcie u podnóża gór i nagle ustało dalsze parcie klucza. Azbeaz odurzony przygodą, rzucał okiem zdumienia. Znalazł się ciemnemi skałami otoczony, w których na ustroniu postrzegł wykutą bramę, sądzi przeto, że drzwi opatrzone są zamkiem i że stanął u celu swojéj podróży. Natychmiast użył klucza, zamek prysnął.

Żaden język ludzki nie jest w stanie wypowiedzieć co się tam działo. Szlest powstał w powietrzu, jakby trzaskanie tysiącznych napowietrznych zjawisk, ścierających się z sobą i wstrząsł skałami, jak trzciną. Azbeaz przejęty zimném i przestrachem, drżał cały, nogi nie chciały go unieść, gdy w tém ogromne drzwi rozwarły się z trzaskiem, obracając się na zawiasach, nie jak zwyczajne z drzewa, lecz jako ludzka istota, — było w tém coś czarodziejskiego, nadprzyrodzonego. Azbeaz czuł zapewne wielkość tego wypadku, bo upadł twarzą na ziemię i zemdlał z nadmiaru przestrachu.

Wróćmy teraz do stolicy i zobaczmy co się tam stało. Słońce weszło na zachmurzoném niebię, powietrze było ciężkie, upał nieznośny. Każdy czuł zbliżanie się wielkich wypadków. — Nie mało zdziwili się kupcy bazaru, na widok największego ze czterech kamieni, ruszonego z miejsca, a obok niego skrzyneczki z wiekiem żelazném. Starsi pomiędzy niemi wstrząsali głową z pełném znaczeniem i jeden z nich przypomniał sobie że go w porze nocnéj niewidzialna ręka tam położyła. Azbeaza na pół otwarty kram, latarnia, oskard i łopata, które pozostawił w nagłéj ucieczce, wszystko to obudzało podejrzenie, że on ten kamień z miejsca poruszył,

ale dla czego? Pytano stróżów, nic nie widzieli, szukano Azbeaza, ale on zniknął. Publiczna ciekawość wzrosła do najwyższego stopnia.

Było południe, król siedział w sali posłuchań na tronie, otoczony ministrami, urzędnikami. Dworzanie podwoili w owym dniu swe pochlebstwa i płaszczenia, publiczny mówca wśród uniesienia rozwijał ulubiony swój temat, o wszechmocności królów. Ale król nie zważał na te publiczne pochwały, siedział zamyślony, rysy jego zdradzały niecierpliwość i ciemne przeczucie. — Śród pochwał i uniesień mówcy usłyszano przeraźliwe głosy wielkiego Gonga, wszyscy zmartwieli na głazy. Król, ów człowiek wyższy nad ludzkość, spadł z tronu i leżał bez poruszenia na ziemi, pochlebcy ani kroku nie ruszyli dla dania mu pomocy, mówca ręki nawet nie wyciągnął. I w całem mieście rozszerzył się postrach, wszystkie domy drzały od nieustannych poruszeń Gonga, z przerażeniem patrzano na żelazne serce, które biło bez pomocy ludzkiéj.

Wezyr naprzód przyszedł do siebie, podniósł króla z posadzki i usadził na poduszce tronowéj.

»Godzina nareszcie wybiła,« rzekł on, — »gdzie Zillallah, cień Allaha na ziemi, w pierwiastek się zamieni. Chwyćmy za broń i bądźmy gotowi, bo wielka przepowiednia się wypełni!«

»Psie!« rzekł król, który się uspokoił tymczasem, widząc się we własnym pałacu, na swoim tronie i otoczony znakami swojéj potęgi: »psie! co ty powiadasz? Nie jestem ja wyższy nad proroctwo? Zawołajcie mi kapłanów, niech nam wypowiedzą, co się dzieje, wojska niech staną pod bronią — Szach nie jest nędznikiem, by się dać zastraszyć starym baśniom.«

Wezyr znał podania o wielkim Gongu, i dla tego nic nie odpowiadał. Poszedł wydać potrzebne roskazy, ustawił lud po dziesięciu, stu i tysiąc uzbrojonych, kazał być gotowym do pochodu, bo powiedziano, że kiedy wielki Gong, zwrócony ku górom odezwie się, natenczas wszyscy obywatele powinni się uzbroić i wyruszyć z miasta.

Zkąd zagrażało niebezpieczeństwo, nikt nie wiedział, ale też ta niepewność zwiększała powszechną trwogę. To jednak mieli za rzecz pewną, że nieniebezpieczeństwo grozi nieuchronne, że postanowienia losu są niezwrotne i że w każdéj chwili, z każdéj strony ruszą zastępy nieprzyjaciół.

Tymczasem zebral król kapłanów, astrologów, najmędrszych ludzi około siebie, pytał się o wykład znaku cudownego. A jak sam sobie to wszystko tłumaczył? Co mówi sumnienie tyranom, to mu też głos wewnętrzny powtarzał i gdyby śmiał wypowiedzieć tajemnice swoich myśli, byłby sam siebie oskarzał głośno, o klęski publiczne, ale był równie obłudnym, jak tyranem i tchórzem. Kapłani, astrologowie, starcy, rzucili się przed nim na twarze, jeden i wiekiem i mądrością celujący, przemówił imieniem wszystkich.

»Królu!« rzekł on, »niech Allah weźmie cię w świętą swoją opiekę! Chwila nadeszła, gdzie nie masz ucieczki, jak tylko do jego łaski. Niewolnik twój nie może cię łudzić, podług podań ojców naszych znaczy głos wielkiego Gonga okropne nieszczęście, grozi szczególniéj tyranom, złym królom, chłostą, zapowiada chwilę ich upadku i chwilę tę, w któréj berło w sprawiedliwsze dostanie się ręce. — To królu było zdanie naszych przodków.«

»Ha!« odrzekł król, z płonącem licem, na którém jednak dały się widzieć ślady niepokoju: »ty psie, śmiesz tak przemawiać do twego najwyższego władzcy? Nie jestżem ja królem? Nie mam ja wojska, wodzów w mojéj służbie? Czyli skrzynie mojego skarbu nie są napełnione? — Zkąd pochodzi, że groźby uszu moich dochodzą?«

Chwilę milczał, jakoby się namyślał nad karą, która miała spotkać tych buntowników. Oczy błyszczały wściekłością, usta zacięły się, zdawało się, że wypowiedzą okropną przysięgę. Kapłani, astrologowie i starcy oczekiwali wyroku. — W tém nagle wpada odźwierny z przekręconem od strachu licem i przedziera się aż do króla. »Co tam? co nowego zaszło?« pyta król, widząc zmienioną twarz odźwiernego, »co tam za głupiec, śmie przekraczać poszanowanie mnie się należące? — Gadaj nędzny robaku!«

»Królu!« zająkł odźwierny, »widziałem coś nadzwyczajnego.«

»I cożeś widział?« zapytał król zniecierpliwiony.

»Patrzałem ku górom i spostrzegłem w oddaleniu na dolinie kurz wielki i czarną plamę; czarna plama rozszerza się i grozi całéj przestrzeni. Nie wiem co to znaczy, ale niech nas Allah uchowa! uciekłem tu dotąd.«

Rozgniewany król rzekł: »ten człowiek naśmiewa się nam w brodę! Kurz, czarna plama, — głupstwa! baśnie! Wrzućcie niewczesnego błazna do więzienia!«

Tu wszedł oficer wyższego stopnia bez tchu i doniósł, że wieśniacy w nieładzie umykają do miasta, że liczne wojsko naprzód postępuje i że należy niezwłocznie bramy miasta pozamykać.

Na tę nowość król nie mógł ukryć wzrastającéj niespokojności, powściągnął gniew i łagodnym głosem zaczął potrzebne wydawać rozkazy. Kiedy wojska ściągano w stolicy, sam udał się na szczyt wieży pałacu, zkąd widok był na całą dolinę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Prelekcye w Poznaniu.

Kurs Estetyki Dr. Libelta.

(Dokończenie.)

Myśl twórcza w naturze od tworów nieorganicznych zdąża do wyższego stanowiska. Owo przeniknienie się wzajemne materyi i myśli rozstępuje się i rozdwaja; dzieje się rozwód między jedném i drugiém, i każde stawa z osobna. Myśl na ten sposób wyzwolona z materyału, jako idea ruchu i życia, góruje nad massą martwą. System słoneczny jest wyobrażeniem tego stanowiska. Kilkadziesiąt planet, księżyców i kometów toczy kołami około słońca, i przez wzajemne działanie sił utrzymuje się w równowadze, na chwilę nie chybiając w drogach, kierunkach, i chyżościach swoich. Ład ten i porządek najdokładniéj obliczony, cel wielki przyrodzenia dla utrzymania życia fizycznego każdego z planet, — jest już myślą twórczą oderwaną od materyi, i panującą nad materyą. Myśl ta górująca jest zewnątrz tych ciał niebieskich, a każde z nich zachowuje pojedynkowośc swoją.

Podobnie mysl budownicza od nierozerwanéj jedności z materyałem, do rozdziału z nim zbieża. Każdy ogród jest tego rodzaju piękném architektonicznem. Tu drzewo każde, kierz, trawnik każdy, jest sam dla siebie całością, a jednak we wszystkiém leży wyższa harmonia i układ, leży myśl organizująca te wszystkie widoki i kształty w jedną piękną całość. W architekturze, budowa miast, piękność ulic i placów polega na téj saméj zewnętrznéj jedności, będącéj piękną harmonią rozmiarów i pojedyńczych gmachów. W obszernych ruinach miasta Teb w górnym Egipcie, widać przed gmachami świątyń, rzędami stawiane olbrzymie sfinxy, z jednego ciosane kamienia, co tam stały, niby drzewa w kolei sadzone, albo niby rzędy kolumn w portykach greckich. I to są budowy rozdziałowe, gdzie myśl wyłączyła się z materyału, zawisła po nad pojedynkami, i owłada je i urządza w jednę symetryczną całość.

Najwyższy atoli szczyt idei w naturze jest powrót jéj do materyału. Przenika go znów, jak na pierwszém stanowisku, ale nie tonie w nim, lecz go sobie wyrabia na cel swój. Tam była przewaga materyalności nad myślą, i nic się nie przedstawiało, tylko materyał; tu przewaga myśli nad materyą, która płonie życiem jawném, wyraźném, organicznem. Tak w całém ciele ludzkiem jest życie rozlane, a jednością tego życia jest dusza. Każda cząstka ciała jest nią ożywiona, a bez niéj niczém jest. Oko, póty jest okiem, póki jest w głowie, i życie w niem; — wyłupione, przestaje być okiem, jest materyą bez celu, bez znaczenia, rozkładającą się dla tego zaraz w zgniliznę.

Myśl architektoniczna dosięga tego samego szczytu w budowlach i arcydziełach architektury. Nie mają życia, ni jedności, ni znaczenia owe ponawożone stósy cegieł i kamieni; owe massy budulcu, marmurów, żelaza, kolumn i ozdób. Trzeba myśli twórczéj, organicznéj, coby temu rozrzuconemu materyałowi nadała wartość i cel. Dopiero gdy się myśl wielka, przestrzenna, oblecze w ten materyał, i wszystko złoży do jedności, — dopiero powstanie dzieło architektoniczne, z którego świeci, i przegląda duch wieku, narodu i mistrza, co gmach ów stawiali.

Jako więc każdy organizm musi mieć wnętrze przestrzenne, i niepodobna go sobie wystawić w zapełnieniu jednoistą, wszędzie jednaką materyą; — tak i w architekturze prawdziwa organiczna całość w ten czas się dopiero zaczyna, kiedy się myśl w materyale rozprzestrzenia, kiedy go rozpiera, i niejako zeń obsłonę dla ducha tworzy. Fundamenta, mury i dachy są to szkielety architektonicznego ciała, co się po nich w symetrycznych rozmiarach i ozdobach obrzuca. Wszystko co się tam krom tego znajduje, bramy, portala, przysionki, portyki, schody, drzwi, okna i t. p., mają o tyle znaczenie, o ile są w całości: bez niéj są obumarłe, bez życia, bez celu. Już w starożytności wyśmiano człowieka, który cegłę z domu na przedaż wystawionego, ku pokazaniu obnosił. Architektura jest organiczna, jak ciało jest organiczne.

Na tym dopiero stopniu rozwiniętą architekturę, uważa p. Libelt w trzech różnych stanowiskach: instynktu, dziwu, i wiedzy.

Gdzie instynkt tylko człowieka prowadził, tam nie mogło jeszcze mowy być o sztuce, bo myśl człowieka w ścisłym związku z naturą będąca, nie umiała jeszcze wznieść się nad naturę, ni owładnąć ją do celow swoich. Pieczary, jaskinie, groty, drzewa, katakomby, naturalne obsłony od zimna, spieki i słoty, były budynkami ludzi. Była to a r c h i t e k t u r a p r z y r o d z o n a. Wystąpił z niéj człowiek, gdy sam sobie tworzyć obsłonę począł. Wtenczas stanął on z jednéj, materyał z drugiéj strony, i wyrabiał go do myśli swojéj, stosując się do koniecznych form kształtowych, które teraz dopiero w naturze widział i poznawał.

Jak każdy obcy w nową sobie okolicę wprowadzony, dziwi się pięknościom krajobrazu, i ten podziw go zachwyca, a tego zachwytu nie ma ten, co od dzieciństwa wzrosł w kraju tym uroczym, i przyzwyczajeniem zjedniał z nim; — podobnie,

człowiek gdy się myślą wyłonił z natury, i w zastanowieniu myśli stanął zewnątrz natury, obudził dziw w duszy swojéj. Wszystko tam mu się wydało ogromne i wielkie, niezmierzone: i te przestrzenie wód morskich, okiem nieścignione, i te nieprzejrzane rozłogi ziem, i te głębie niebios, i te potężne massy skał i gór, pod któremi wydała się jego wielkość niby robaczka maluczkiego. — Piękno w tym ogromie mass jest podrzędne; że tak powiem niedojrzane. Myśl więc architektoniczna na tém stanowisku, gdy sobie materyał na podobieństwo swoje wyrabia, — będąc sama myślą dziwu, wyprowadzać musi na jaw dzieła tegoż charakteru, to jest podziw obudzające, uderzające ogromem nie pięknością, i nie ludzie, ale ludy są tych dzieł działaczami.

Tego rodzaju architektury są budowle Babilończyków, Indyan, Egipcyan i Persów.

Pierszwe budowle tego stanowiska wyjść muszą i łączyć się bezpośrednio z architekturą wypełnioną, o któréj mówiło się poprzednio. Myśl architektoniczna jeszcze niemowlęca, nie potrafi wskroś rozeprzeć materyału, ale słabo się tylko weń wdraża. Myśl ta nie wychodzi od architekta, ale od ludu; lud jest budowniczym i robotnikiem, i myślą i pracą ludu uświęca się dzieło jego. Architektura na stanowisku podziwu, jest dla tego architekturą świętą albo symboliczną.

Najdawniejsze jéj pomniki uważał p. Libelt w wieży Babel według podań biblijnych; w wieży Belusowéj według podań Herodota; w wiszących ogrodach Semiramidy; w zamku słonecznym Ecbatana, nareszcie w piramidach Egipskich, o czém obszerniéj się rozwiódł idąc za zdaniem Hirta, Heerena, Kreutzera i innych.

W drugim rzędzie budowli architektury podziwu stawiał te gmachy, gdzie myśl przestrzenna nie zdolna dotąd w niemowlęctwie wskroś rozeprzeć materyału, urosła już na młodziana, i siłą gigantyczną rozparła i rozrzuciła go na sztuki, i przeziera w przestrzeni wszystkiemi stronami. Jest tu połączenie zapełnionych osobnych budowli i bram, sfinxów, memnonów, filarów, kolumn, pylonów w jedną symboliczną przestrzenną całość. Są to gmachy nie zamknione, ale roztwarte na wszystkie strony.

Taki charakter i taką formę mają świątynie i grobowce Egipcyan, Indyan i Persów, w których obszerniejszy opis wdał się autor zdejmując najważniejsze zabytki z ruin Teb, Salsette, Elefante, Elore i Persepolis.

Do trzeciego rzędu pomników architektury IIgo stanowiska policzone są budowle symboliczne, ale już zasklepione. Tamte wznosiły się albo roztworzone nad ziemią, albo roztworzone pod ziemią. Tu występują gmachy z głębi ziemi i nad ziemią się zasklepiają. Pagody u Indyan i labirynty u Egipcyan należą do tego rodzaju architektury. Autor opisał słuchaczom siedm pagód w Mavalipuran nad brzegami Koromandel, i sławny labirynt Egipski nad jeziorem Moeris według podań Pliniusza i Herodota. Gmachy te okien jeszcze nie miały. — Tu było już przejście do stanowiska wiedzy. Odbyło się ono wtenczas dopiero, kiedy myśl architektoniczna zupełnie już owładła materyał, kiedy go wskroś przenikła i rozparła, i wewnątrz i zewnątrz uorganizowała. Piękno dotąd podrzędną miało rolę; bo nikło w owych kolossach i massach. Wiedzą dopiero pojęte potrafiło wcielić się w materyał, przelać się z duszy sztukmistrza, ideału pełnéj, w kamień i massę. Nakoniec architektura będąc tylko symbolem, nie miała żadnego pożytkowego celu. Grobowce i świątynie Egipcyan i Indyanów służyły bogom i umarłym, nie ludziom. Wiedza dopiero umiała cel socyalny upięknić, umiała pożytek zarchitektonizować.

Na stanowisku wiedzy architektura będąc już panią materyału murowego, chwyta za nowy materyał, za materyał socyalny, za cel i pożytek, i ten w piękno obraca. Stopnie zatem, po których się tu architektura rozwija, stanowić będzie różna stosunkowość między pożytkiem a pięknem:

1) gdzie w pięknie pożytek utajony, czyli gdzie jest przewaga pierwszego nad drugim; — i to będzie architektura grecka,
2) gdzie w pożytku piękno utajone, czyli gdzie przewaga praktyczności nad ideałem; — i to będzie architektura rzymska,
3) gdzie pożytek i piękno jest w nierozerwanéj harmonii; — i taką jest architektura romańska czyli gocka.

Autor miał jeszcze tylko czas rozwinąć architekturę grecką, wskazać filozoficzne jéj stanowisko, okazać pojawy téj architektury, jako konieczne objawy postępu myśli architektonicznéj, i mówić w szczególności o kolumnach i budowlach doryckiego, jońskiego i koryntckiego stylu. O architekturze rzymskiéj i gockiéj w krótkości tylko namienił.

Z całego tego sprawozdania pozna wszakże czytelnik rozkład i system autora, odznaczający się oryginalnemi pomysłami, i ścisłem następstwem myśli, z jednego ogólnego pojęcia architektury wyprowadzonych. Nie pozostaje nam jak wynurzyć życzenie, abyśmy w latowem półroczu usłyszeli ciąg dalszy filozofii sztuk pięknych.

Pierwsza scena

z

CYDA

Tragedyi Guilhelma de Castro. *)

Sala królewska. — Król Don Ferdynand i Diego Laïnez przed nim na kolanach.

DIEGO.

Jakaż łask tych jest przyczyna?
Moją prawość mam jedynie.

KRÓL.

Com powinien tylko czynię.

DIEGO.

Samże uczcisz mego syna.

KRÓL.

Wstań Laïnez, wstań Diego,
Czczę majestat, czcząc dziś jego,
I pasując na rycerza
Moją własną dam mu zbroję.

DIEGO.

(wstaje i patrząc za scenę.)

Już i Rodryg ku nam zmierza.

KRÓL.

Tu go czeka serce moje.

DIEGO.

I królewicz tak łaskawy,
I królowa, chcieli sami,
By Rodryga być kumami,
Tak go dzisiaj zaszczycają.

KRÓL.

Moją miłość mu spłacają.

*Wchodzi królowa, królewna Dona Urraka Chimena, **) Lozano, Arias Gonzalo, Piranzulez i Rodryg w zbroi, bez miecza i ostróg.*

KRÓLEWNA D. URRAKA *(do Chimeny).*

Jakże Rodryk ci się zdaje?
Cóż Chimeno?

CHIMENA.

Jest przystojny.

(n. s.)

Ten szlachetny wzrok spokojny
Lubą mękę mi zadaje.

KRÓL.

Jak mu ładnie jest w téj zbroi,
Jak mu pancerz ten przystoi.

RODRYG.

Boś ty raczył zwrócić oczy,
A Gonzalo swoje dłonie.

GONZALO.

Bo pod zbroją wiek ochoczy
Kastylijskie serce plonie.

KRÓL *(oglądając go).*

To mi rycerz okazały

KRÓLEWICZ D. SANCZO.

Dzielny rycerz, któż zaprzeczy.

LOZANO *(z cicha).*

Tyle szczęścia, tyle chwały
Peranzules.

PERANZULES.

Dziwne rzeczy.

RODRYG.

Królu stopy twe całuję
Za ten zaszczyt,

KRÓL.

Zasługuje
Więcéj cnota niezrównana.

(Do D. Sancza.)

Patrz jak pierś ta zbudowana,
Jak do twarzy mu ma zbroja.

RODRYG.

I ta pierś jest również twoja.

KRÓL.

Teraz śpieszmy do ołtarza.

DIEGO.

Któż się większéj czci spodziewa
Nad tę, którą król obdarza.

RODRYG.

Kto się synem twym nazywa
I kto z tobą chodzi społem
Może niebios sięgnąć czołem.

Podnosi się zasłona, widać ołtarz świętego Jakuba, przed nim na poduszce szpada i złote ostrogi, król wstępuje na stopnie i bierze szpadę do ręki.

KRÓL.

Rodrygu, czego pragniesz?

RODRYG.

Chcę zostać rycerzem.

KRÓL.

Niech więc Bóg wiernym sobie zrobi cię żołnierzem.
Rodrygu czego pragniesz?

RODRYG.

Chcę zostać rycerzem.

KRÓL.

Niech więc Bóg wiernym sobie zrobi cię żołnierzem.
Rodrygu czego pragniesz?

RODRYG.

Chcę zostać rycerzem.

---

*) Guilhelm de Castro należy do najdawniejszych pisarzy dramatycznych hiszpańskich; najznakomitszem jego dziełem jest tragedya z któréj umieszczemy wyjątek, autor wiernie się trzymał wszystkich tradycyj i śpiewów ludu i utworzył obraz niesłychanie wielki, żywy i pełny.
Dramat ten składa się z dwóch części, z których pierwszą Kornel przerobił na język francuzki, druga przedstawia Cyda w wieku dojrzałym, kiedy rostrzyga spory między książętami. — Mniemanie jakoby Kornel wziął swoją tragedią z Diamanta jest mylne, bo autor piszący pod tem przybranym nazwiskiem jest daleko późniejszy, co większa, przy bliższem rozpatrzeniu się, tragedya Diamanta jest prostem tłumaczeniem Kornela. — Z wstąpieniem bowiem na tron hiszpański Burbonów, gust francuzki zaczął przeważać; wzięto się nawet do obcinania i kaleczenia według trzech jedności Arystotelesa arcydzieła Lopeza, Kalderona, Alarkona i innych. Na nieszczęście niekiedy nawet ginęły i pierwiastkowe utwory i tak sławna tragedya Lopeza de Vegi: „Sanczo Ortiz“ doszła do nas tylko w swem przekształceniu.

**) W pisaniu nazwisk hiszpańskich nietrzymam się ortografii właściwéj ale raczéj polskiego wymawiania dla tego zamiast Ximena piszę Chymena, zamiast Sancho, Sanczo.

KRÓL.
Niech więc Bóg wiernym sobie zrobi cię żołnierzem.
(*uderza go po ramieniu szpadą, którą mu potem oddaje.*)
W pięciu bitwach szpada ta
Była zwycięstw, czci znamieniem,
Dziś dźwignięta twém ramieniem
Nowy blask w mych oczach ma.

RODRYG.
Królu sam twój wzrok łaskawy,
I z niczego zrobi wiele,
O przysięgam że udziele
Twojéj szpadzie nowéj sławy.
I w méj pochwie niezadzwoni
Przy mym boku niezawiśnie
Aż dopóki w mojéj dłoni
Nową chwałą niezabłyśnie.
Nienabędzie zaś téj chwały,
Aż na wrogach pokonanych,
Niepoliczy pięć wygranych.

LOZANO.
Ślub ten nadto jest zuchwały.

KRÓL.
To coś przyrzekł, wiem że pewno
I dotrzymasz — wy królewno,
Chciejcie przypiąć mu ostrogi.

RODRYG.
Co za szczęście!

D. URRAKA.
To uczynię.

RODRYG.
(*stawia nogi na przygotowane wzniesienie.*)
Mogę z szczęściem tém jedynie
Na grzbiet świata stawiać nogi.

D. URRAKA (*z cicha*).
Téj usługi o mój drogi
Niezapomniż że ty przecie.

RODRYG (*grzecznie i zimno*).
Tyle szczęścia, nigdy w świecie.

CHYMENA (*n. s.*)
O jak żywo te ostrogi
Biedne serce me ubodły.

D. URRAKA.
Oby spełnił Bóg me modły.

RODRYG.
I odsłużyć pragnę tyle
Ile w sercu szczęścia czuje.

KRÓLOWA.
Ja zaś konie wam daruje,
I nań wsiądźcie, a za chwilę
Z okien zamku ja i damy
Jak rycerza powitamy.

KRÓL (*do D. Sancza*).
Towarzyszyć chciejcie książe.

D. SANCZA.
A więc idźmy przyjaciele.

PERANZULES (*n. s.*).
Tych honorów już za wiele.

D. SANCZO (*wracając się*).
Kiedyż szpadę ja przywiąże,
Kiedyż wsiądę ja na koń?

KRÓL.
Jeszcze czas jest.

D. SANCZO.
Jakto panie,

KRÓL.
Jeszcze ciężką wam się stanie
Na dziecinny wiek wasz broń.

D. SANCZO.
Czymże dla mnie koń, wędzidło,
W pochwie, w dłoni, twoja szpada,
O, młodego serca skrzydło,
Orężowi lekkość nada,
Ileż razy ostrz tej broni
Ma zrzenica przemierzyła,
Gdyby nawet górą była
O niepoczułbym jéj w dłoni.
A gdy Bóg mi dopomoże
Ją przepasać, a na głowę,
Szyszak, pancerz na pierś włożę,
O świat ujrzy cuda nowe,
Jak zachodzi, wschodzi słońce
Ziemię zbiegnę w broni szczęku.
Potem będę w każdym ręku
Oba świata trzymał końce.

KRÓL.
Poczekajcie, wyście młodzi,
Z wiekiem więcéj sił nadchodzi.

D. SANCZO.
Ja mam ojcze tysiąc razy
Więcéj sił, niżeli lat.

RODRYG.
Ja za wami pójdę w świat.

LOZANO.
Pełne ognia te wyrazy,
Co za zapał i chęć jaka.

D. SANCZO (*do Rodryga*).
Pójdźmy, wsiądziesz na rumaka.

PERANZULES (*n. s.*)
Jakaż duma w nim się budzi.

KRÓL (*n. s.*).
Syn mnie mocno niepokoi.

D. DIEGO (*n. s.*).
Najszczęśliwszy jestem z ludzi.

D. URRAKA (*n. s.*).
Jak wspaniała twarz Rodryga.

CHYMENA (*n. s.*).
Wzrok i myśl go moja ściga.

Wszyscy wychodzą prócz króla, Arias, Gonzala, hrabi Lozany i Diego Laïnard.

KRÓL.
Hrabio Orgas, Peranzules,
I Laïnez i Gonzalo
Co jesteście podporami,
Światłą radą mego państwa
Zatrzymajcie się na chwilę.
Chciejcie usiąść, w ważnéj sprawie
Mam się z wami dziś naradzić.

(Dodatek.)

Wiecie dobrze że Bermudez
Mistrz książęcia już nieżyje,
Umarł w chwili, gdy najbardziéj
Był potrzebnym Don Sanczowi,
Książe skończył swe nauki,
Lecz młodzieńczy jega zapał,
Za daleko go unosi.
Dziś oddycha tą nadzieją
Że potrafi kiedyś wojną
Świat zastraszyć i zamęczyć.
Potrzebuje zatem męża
Co z rozumem i wiernością
Pohamuje krwawe żądze.
A ponieważ już Gonzalo
I królowéj dwór zarządza,
I Alonza i Garcij
Jest zajęty wychowaniem.
Perunzalez zaś z Lozanem
Przepędzają czas w obozach.
Więc wybrałem Don Diega
Przewodnikiem dla książęcia,
Jednak pragnę to uczynić,
Z waszą wiedzą i poradą.

GONZALO.

I któż lepiéj jak Laïnez
Może spełniać obowiązki
Te, od k.órych dziś zależy
I ojczyzny przyszłe szczęście
I spokojność może świata.

PERUNZALEZ.

I zasłużył Don Diego
Na ten zaszczyt tak wysoki.

LOZANO.

Tak zasłużył, i tem bardziéj
Że go przeniósł król nademnie.
Kosztem sławy méj obejmie
Urząd, który jam miał sprawiać
Służąc księciu panu memu,
A którego Bóg niech strzeże.
Możesz zgadnąć dobry królu,
Co ja cierpię a przemilczam
Bo to w twojéj obecności.
Jakże stary Don Diego
Łat ciężarem przygnieciony,
W z grzybiałości znajdzie siły.
W dziecinniałym swym rozumie
Jakże będzie swym przykładem
Uczyć księcia cnót rycerskich,
Cóż na placu, co w obozie
W jego oczach mu okażę
Czy potrafi jak ja królu
Lecić z wiatrem na rumaku
I w zawody kruszyć lance.

KRÓL.

Dosyć, dosyć,

DIEGO.

Hrabio Orgaz?
Nigdyś niebył tyle dumny.
Żem zgrzybiały to wyznaję,
Jest to dzieło czasu, trudów,
Ale drzymiąc, stygnąc wolno
Dziecinniejąc, mogę jeszcze,
Mogę hrabio, uczyć tego
Czego niezna może wielu,
Mogę zwolna umierając
I żyjącym dać przykłady
Męztwa, cnoty i rozumu.
Jeźli w nogach i ramieniu
Już mi siły niewystarczą
Lecić z wiatrem na rumaku
I w zawody kruszyć lance.
Moich czynów wypisane
Dam książęciu czytać dzieje.
Niech się uczy z dawnych zdarzeń
Co z dzisiejszych niepotrafi;
I świat ujrzy, król obaczy
Że na demnie nie wart nikt.

KRÓL.

Don Diego!

LOZANO.

Ja wart jestem.

KRÓL.

W moich oczach....

LOZANO.

Więcéj jak ty.

KRÓL.

Hrabio.

D. DIEGO.

Kłamstwo.

LOZANO.

Ja ci mówię.

KRÓL.

Jestem królem.

D. DIEGO.

Śmiesz powiadać....

LOZANO *(dając policzek).*

Niech ci powie moja ręka
To co język mój zamilcza.

PERUNZALEZ.

Wstrzymaj.

DIEGO *(do siebie).*

Starcze nieszczęśliwy.

KRÓL.

Straże!

DIEGO.

Puśćcie....

KRÓL.

Brać go.

LOZANO.

Królu!
Zagniewałem twój majestat,
Przebacz, przebacz uniesieniu,
Królu wielki i potężny.
Co się stało w twym pałacu
Niekoniecznie świat ma wiedzieć,
I na ten raz chciéj darować
Mojéj ręce że na chwilę
Zapomniała czci ci winnéj,
Ręce, która od lat tylu
Jest podporą twego tronu,

Czujnie strzegła granic państwa
I co mściła twe urazy;
I chciéj zważyć że roztropny
Król niewięzi jak ja czleka
Co był zawsze twą prawicą
Co był skrzydłem twoich myśli
I jest sercem twego państwa.

KRÓL.

Straże!

PERUNZALEZ.

Panie!

GONZALO.

Królu!

KRÓL.

Hrabio!

LOZANO (*wychodząc*).

Przebacz panie.

KRÓL.

Stój zuchwalcze!
Gońcie za nim.

GONZALO.

Okaż teraz
Twą roztropność Ferdynandzie.

DIEGO.

Każ go wołać, każ go wołać,
Niechaj przyjdzie objąć urząd
Któryś dla mnie był przeznaczył.
Lepiéj zdoła go zaszczycić
Niż ja starzec zniesławiony
Do honoru co miał wpierwy
I wydarty mnie dziś przydał.
Ja ztąd idę utykając
Pod ciężarem téj niesławy
Co me lata obarczyła.
Idę płakać nad mą hańbą
Póki zemstą jéj niezmyję.

KRÓL.

Stój, posłuchaj, mój Diego.

D. DIEGO.

Pohańbiony nie jest godzien
Stać w obliczu swego króla.

KRÓL.

Słuchaj! czekaj.

D. DIEGO (*wychodząc*).

Daruj panie
(*do siebie*)
Krwi coś była czcią Kastylii.

KRÓL.

Tracę zmysły.

GONZALO.

Rozżalony
Ztąd wychodzi.

KRÓL.

I ma czego.
Cóż uczynię przyjacielu
Mamże kazać poimać hrabię?

GONZALO.

O nie panie, zbyt jest możny,
I zuchwały nadewszystko,
Wystawiłbyś na zagubę
Pokój państwa i potęgę.
I w drażliwych tak wypadkach
Chcieć uwięzić winowajcę
Jest rozgłosić pohańbienie.

KRÓL.

Dobrze mówisz; Peranzules
Idź bez zwłoki do hrabiego
Ty sam pośpiesz za Diegem,
I obydwom to powiedzieć:
Że ponieważ rzecz się stała
Przy zamkniętych drzwiach na zamku,
Niech z nich żaden się neważy
I wy także to rozgłaszać,
To pod karą méj niełaski.

PERUNZALEZ.

Słuszne królu twe rozkazy.

KRÓL.

I Laïnez uiech się dowie,
Że na siebie ja sam biorę
Jego honor, domu sławę;
Niech tu przyjdzie jak najrychléj,
A hrabiemu chciéj powiedzieć
Że go także przywołuję,
I przyjść może bez obawy,
Na królewskie moje słowo,
Sam zagodzę to nieszczęście.

PERUNZALEZ.

Idziem panie.

KRÓL.

Wróćcie szybko.

GONZALO (*n. s.*).

Krew Diega jest i moją.

PERUNZALEZ (*n. s.*).

Bliski krewny mój Lozano.

KRÓL.

Król poddanych nieposłusznych.
Lecz ich skarze jak przystoi.

L. Rettel.

ROZMAITOŚCI.

Pan Beard w Londynie założył instytut portretowania za pomocą daguerrotypu i tak dalece udoskonalił sposób postępowania przytém, iż nawet portrety w kolorach oddaje, i tym sposobem podobieństwo zachodzi największe z oryginałem. Tak w kilku minutach otrzymujemy portret najdoskonalszy, z tą dogodnością, iż nie masz potrzeby jak dawniéj wysiadywać przy portretowaniu i dla téj jednéj przyczyny zasłużył Daguerre na nagrodę publiczną. Portrety Bearda odznaczają się świeżością, delikatnością i życiem, i nie tylko w nich wierność rysów twarzy się powtarza, ale nadto wszystkie cienie ciała i wyraz ducha.

W Paryżu wydała policya przepis, jakich kolorów cukiernicy mają używać do barwienia swoich towarów, z niego dowiadujemy się także, iż wystrze-

gać się należy kupowania karmelków obwijanych w gładzony lub kolorowy papier, bo papiery tego rodzaju bywają szkodliwemi zaprawiane pierwiastkami, które nader zdrowiu szkodzić mogą. Wystrzegać się także należy karmelków w pudełkach wyklejonych podobnym papierem.

W roku 1841. spotrzebowano we Francyi przeszło 200 milijonów funtów cukru, przed półtrzecia zaś wiekiem, pod panowaniem Henryka IV., taką był cukier osobliwością, iż tylko go po aptekach na łuty przedawano. Według obrachunku wypada w Antillach na osobę na rok w przecięciu 100 funtów cukru, w Anglii 16, w Szwajcaryi, we Włoszech i Belgii 8 do 10, we Francyi 6 do 8, w Rossyi nie zupełny funt cukru.

W Ameryce zdaje się zanosić na zmianę w obyczajach, zaczynają tam być zalotnymi i ugrzecznionymi. W czasie wielkiéj uroczystości wniesiono przed niedawnym czasem następujący toast: »Na cześć kobiet! jedynéj znośnéj arystokracyi, która panuje bez praw, sądzi bez przysięgłych, wyrokuje bez appellacyi i zawsze przytém ma słuszność!«

Portugalczykowie zaklinają całe chrześcijaństwo, aby im dopomogło wypić ich wino, bo nie wiedzą, gdzie podziać ten dar Boży. W Oporto i w Londynie nie masz widoków na sprzedaż tak ogromnych zapasów wina zwanego porto, a jest go w sklepach 6,250,000 stóp kubicznych i rozlane w kotlinę utworzyłoby ogromne jezioro, na któremby wszystkie floty Europy spłynąć mogły.

Dawniéj na balach maskowych odznaczano się w Paryżu pięknemi przebiorami, w tym roku rzecz się ma inaczéj i to jest charakterystyczném na czasy nasze: — lud ubiegał się w przeobrażeniach swych na żebraków, zbieraczy gałganów, katów i robotników. Mażą twarze i piersi farbami, przewięzują powrozami stare koszulska, utrzymując niemi ubiór połatany i tak tańczą sławny i klasyczny swój cancan. Kobiety powiększéj części przebierały się za Debardeurs, najpiękniejszy dla młodych dziewcząt ubiór. Debardeur jest we Włoszech robotnik nad brzegami morza, zatrudniony znoszeniem ciężarów z okrętu. Pod temi ukryci ubiorami, umieją dowcipne prowadzić intrygi Paryżanie. Mimo pozornéj jednak swywoli, nie przekraczają nigdy granic przystojności.

Między klejnotami, które pani Aguado po mężu swoim w spadku bierze, znajduje się diament najczystszéj wody i bardzo wielki. Wartość jego podają na 500,000 fr. A że p. Aguado raz tylko do roku go brała do ubioru, przeto wartość użytku 25,000 franków (procent od owéj summy) wynosiła.

Jasnowidzący. Do dziś dnia utrzymuje się wiara między ludem szkockim, iż niektórzy ludzie posiadają dar przewidywania przyszłych wydarzeń. Smutny wypadek odnoszący się do téj wiary, wydarzył się przed niedawnym czasem w Killin, małém miasteczku hrabstwa Perth w Szkocyi. Dwóch młodych ludzi siedziało tam w jednéj gospodzie i jadło śniadanie. Donald, dosyć bogaty dzierzawca z okolicy wstąpił do niéj, o którym chodziła wieść, iż właśnie umiał przewidywać przyszłość. Znał owych młodzieńców i dla tego opowiadał im, co mu na sercu leżało. Syn jego biegły rzemieślnik w sąsiedném mieście doniósł mu, iż upodobał sobie córkę Krittsona, mającego kram żelazny w tém mieście, że ją chce mieć za żonę, i że ojciec jéj bogaty, lubo surowy człowiek nie sprzeciwia się temu połączeniu, chce jednak obejrzeć gospodarstwo Donalda, dla przekonania się, ile synowi dać może zapomogi. Jeszcze rozmawiali ze sobą, kiedy jakiś podróżny, rysów ostrych i w ubiorze zaniedbałym, wszedł do gospody, wołając głosem dokazującym śniadania. Głos obcego zdawał się rozdzierać nerwy Donalda i obrócił się na niego, lecz w tym samym czasie zadrzał, stawił w słup oczy, pot gwałtowny okrył czoło jego. Wstał nagle i biegł ku drzwiom. Dwaj młodzieńcy pośpieszyli za nim i pochwycili go za ręce.

»Uspokój się Donaldzie,« rzekł jeden z nich; »jesteś śród przyjaciół, żadne ci nie grozi niebezpieczeństwo.«

»Na św. Dunstana zaklinam się,« rzekł dzierzawca, »jestem zgubiony!«

Uspokoił się pochwili, zbliżył się do człowieka, który go przeraził, stanął przed nim i rzekł:

»Nieszczęśliwy, pokończ twoje interessa, pamiętaj, że zdać musisz rachunek przed tym, który nas wszystkich sądzić będzie, bo za dwa dni — — powieszą cię.«

Obcy, który już kilka kieliszków wódki wypił, skoczył nagle z twarzą od gniewu rospaloną. Donald nie drzał wówczas, rozwaga i przytomność wróciły i mówił daléj: »Tak, po dwóch dniach, powieszą cię, widzę drabinę, po któréj wstępujesz, widzę sznur, który twoją szyję otacza, widzę kata, który ima ciebie.«

Podczas ostatnich słów nie mógł się wstrzymać obcy, pochwycił Donalda lewą ręką, prawą zaś porwał nóż ze stołu i utopił go w piersiach jasnowidzącego aż po rękojeść. Uderzenie tak było silne, że Donald padł bez wydania głosu. Cisza śmiertelna panowała w izbie, córka gospodarza na pół omdlała,

oparła się o mur, zabójca padł na krzesło, tylko jeden z młodzieńców natychmiast wysłał posługacza po konstabla, sam zamknął drzwi, aby morderca nie uszedł, i potém pobiegł w pomoc gasnącemu. Lecz ten już umarł. Niebawem nadbiegł konstabel, zabrał ze sobą zabójcę i świadków, a że wówczas trwało posiedzenie sądu przysięgłych, stawił wszystkich przed zgromadzeniem. Cisza nastąpiła w sali sądowéj, sędzia zapytał mordercę o imie, i obadwa młodzieńcy usłyszeli z przerażeniem, że to Krittson, kupiec żelaza, który swą córkę chciał wydać za mąż, za syna Donalda. Czynu nie można było zaprzeczyć, Krittson bronił się tém tylko, że przepowiednia tak go oburzyła, że w téj chwili nie czując się panem siebie, wpadł w wściekłość i popełnił zabójstwo. Mimo to przysięgli uznali go winnym zbrodni, a sąd wydał wyrok nań śmierci. Drugiego dnia został Krittson powieszony.

Mody. — Paryż, dnia 4. Maja 1842. — Pomiędzy wiosennemi tkaninami szczególniéj podobają się muśliny kaszemirowe, organtyny i tarlatany wełniane.

Wiele też się ukazuje długich szalów, nietylko aksamitnych i atłasowych, ale też kaszemirowych, z tych ostatnie szczególniéj w téj chwili zasługują na pierwszeństwo. Aksamitne watują i sztepują, atłasowe podszywają i orzucają fręzlami lub czarnemi koronkami; późniéj nastąpią haftowane muśliny, z podszyciem jaskrawem.

Z białych tkanin noszą płaszczyki, nazywane paziowemi, płaszczykami Pompadour i Franciszka I. Biorą na nie muślin zwany Tippo-Saïb i podszywają tkaninami w bladych kolorach. Żółtocytrynowy i paliowy kolor pod muślinem pajęczym prześlicznie wygląda.

Ubiory ranne nie mają sznepek, wszystkie są zaokrąglone. Rękawy mniéj bywają obcisłe niż dawniéj, co nazwać można wygodną korzyścią. Powłoki zaś coraz dłuższe.

Najwięcéj sukien noszą teraz z taftu fontażowego, w kolorze różowym, zielonym i niebieskim, zielonym i lilijowym, cytrynowym i różowym, wiśniowym i czarnym, czarnym i niebieskim. Przerabiane pekiny i kameleony (w mieniących kolorach) bardzo są poszukiwane.

Kapelusze słomiane, mianowicie włoskie i z słomy ryżowéj, która za włoskiemi zaraz idzie, zwolna się pokazują. Do włoskich kapeluszy noszą zawsze jeszcze białe pióra. Ryżowe zaś rozmaitszy mają ustrój, i dla tego podszywają je gazą różową lub paliową, orzucając je na obwodzie dwoma lub trzema pasami. Półzasłony należą zawsze do potrzeb koniecznych.

Do tkanin najwięcéj chwalonych liczą: włoskie tafty, w rozmaitych cieniach lśniące i mozajkowane, przerabiane tafty, pasiaste tafty, gronostajowe tafty, podobne do futra tego nazwiska, tafty kolibrowe w wązkich paskach i najrozmaitszéj barwie, pekin wrabiany, pekin ludwiki w szerokie fijółkowe pasy, grosdetours, gros d'étè, grosdenaple, poux de soie, popeliny i wrabiane i przerabiane ronkale. Oprócz tych fulardy kraciaste, w pasy i wrabiane; bareże i balzarini w bukiety palmowe, z pasami atłasowemi i t. d.

Na każdy przypadek nosić będą latem krótkie rękawy i już teraz widzimy do nich odnoszące się drobiazgi, np. krótkie rękawiczki bez palcy.

W męzkich modach odznaczają się bardzo szerokie wyłogi na piersiach, gładko przystające, długość w stanie, krótkie poły u surdutów, a bardzo obszerne u fraków. Poły u fraków tak są szerokie i sute, u surdutów tak krótkie, że trudno teraz frak od surduta odróżnić. Na pierwszeństwo zasługuje kolor czarny, ciemno zielony i czarnobronzowy.

Kamizelki najwięcéj noszą z piki, z kozich włosów i walencyańskie. Pantalony zachowują dawny obcisły kształt, z fałdami.

Objaśnienie ryciny.

1. Szlafroczek pekinowy, gładki stanik, obcisłe rękawy, pasy w ząbki. Kołnierz i mankietki en guipure. Kapelusz ściągany, z wianeczkiem i wstążką taftową.
2. Kapotka krepowa z taftowemi paskami. Suknia bez garnituru. Mantelet z grosdenaplu, koronką jedwabną oszyty.
3. Ściągany kapelusz jak u 1. Suknia pasiasta. Najnowszy płaszczyk szalowy z jedwabiu.
4. Kapotka z słaniającem się piórem i kwiatami pod obwodem. Suknia z gładkim stanikiem, obcisłemi rękawami, bez oszycia. Szal kaszemirowy.
5. Czepeczek z jedwabnéj koronki, z bukiecikiem na boku. Suknia w pasy z gładkim stanikiem i obcisłemi rękawami. Kardynalska peleryna.

Redaktor: *N. Kamieński*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*

